TOM ROB SMITH

AGENT 6

ORYGINALNY, DOJRZAŁY, WIELOWYMIAROWY THRILLER POLITYCZNY

Moskwa
Plac Łubiański
Łubianka — siedziba tajnej policji

21 stycznia 1950 roku

Pisząc dziennik, należało sobie wyobrażać, że każde słowo czyta Stalin — wtedy było to w miarę bezpieczne. Jednak mimo zachowania daleko posuniętych środków ostrożności istniało ryzyko, że niezręczne sformułowanie czy przypadkowa dwuznaczność wypaczą sens zdania. Pochwała mogła być odczytana jako kpina, szczere uznanie jako szyderstwo. A ponieważ nawet najbardziej czujny autor nie mógł się ustrzec przed dowolnością interpretacji, nie pozostawało nic innego, jak trzymać pamiętnik w ukryciu. Taką właśnie metodę obrała podejrzana w tej sprawie — młoda malarka Polina Pieszkowa. Jej dziennik odkryto w kominku — a ściśle rzecz biorąc, w kominie nad paleniskiem — gdzie zawinięty w nawoskowaną szmatkę, spoczywał wciśnięty między dwie obluzowane cegły. Żeby go wyjąć, autorka musiała odczekać, aż ogień wygaśnie, a następnie sięgnąć do komina i namacać grzbiet zeszytu. Jak na ironię, ta misternie przygotowana kryjówka zgubiła Pieszkową. Odcisk usmolonego palca na biurku wzbudził podejrzenia agenta śledczego i skierował jego poszukiwania tam, gdzie trzeba — godny naśladowania przykład tego, jak powinien pracować oficer śledczy.

Z punktu widzenia tajnej policji ukrywanie dziennika, bez względu na jego treść, było przestępstwem — próbą oddzielenia przez obywatela publicznej sfery życia od prywatnej, czyli tworzeniem nieistniejącej przecież bariery. Partia sprawowała władzę nad każdą myślą czy emocją i dlatego schowany pamiętnik często stanowił najbardziej

obciążający dowód, na jaki mógł liczyć agent. Ponieważ dziennika nie pisze się z myślą, że ktoś go kiedyś przeczyta, autor, mając swobodę wypowiedzi, traci czujność i mimowolnie zaczyna się spowiadać. Ta płynąca z głębi serca szczerość pozwalała osądzać nie tylko autora dokumentu, lecz również jego przyjaciół oraz rodzinę. Pamiętnik pomagał wskazać nawet do piętnastu dodatkowych podejrzanych, piętnaście nowych tropów, czyli więcej niż większość najostrzejszych przesłuchań.

Tym śledztwem kierował agent Lew Demidow, lat dwadzieścia siedem — żołnierz odznaczany medalami za odwagę, po Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej zwerbowany w szeregi tajnej policji. Jako agent MGB — Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego — sprawował się świetnie dzięki połączeniu bezwarunkowego posłuszeństwa, wiary w państwo, któremu służył, i rygorystycznej dbałości o szczegóły. Jego zapał wynikał nie tyle z ambicji, ile z gorącego uwielbienia ojczyzny — kraju, który pokonał faszystów. Przystojny, trzeźwo myślący, zarówno z wyglądu, jak i z charakteru idealnie nadawał się na plakat propagandowy — z silnie zarysowaną szczęką i prostą linią ust, nieustannie gotowych do szermowania sloganami.

W trakcie krótkiej kariery w MGB Lew nadzorował badanie setek pamiętników, ślęcząc nad tysiącami wpisów, w nieustannej pogoni za tymi, których oskarżano o agitację antyradziecką. Pierwszy dziennik, który analizował, pamiętał tak, jak się pamięta pierwszą miłość. Dostał go od swojego mentora, Nikołaja Borysowa. Była to trudna sprawa. Lew nie dopatrzył się w treści niczego obciążającego. Wówczas jego mentor sam przeczytał pamiętnik, zwracając uwagę na pozornie niewinne spostrzeżenie:

> *6 grudnia 1936 r. Wczoraj wieczorem przyjęto nową konstytucję Stalina. Czuję to samo co reszta kraju, tzn. absolutną, bezgraniczną radość.*

Borysow miał wątpliwości, czy zdanie to wiarygodnie oddaje poczucie radości. Autorowi zależało raczej na podkreśleniu tego, że czuje to samo co reszta obywateli. Było to posunięcie strategiczne i cyniczne, deklaracja bez pokrycia, mająca na celu ukrycie targających autorem wątpliwości. Czy ktoś wyrażający prawdziwą radość użyłby

skrótu — „tzn.” — przed opisaniem swoich uczuć? Podczas najbliższego przesłuchania Borysow zapytał o to podejrzanego.

ŚLEDCZY BORYSOW: *Jak się teraz czujecie?*
PODEJRZANY: *Nie zrobiłem niczego złego.*
ŚLEDCZY BORYSOW: *Pytanie brzmiało: jak się czujecie?*
PODEJRZANY: *Czuję się wystraszony.*
ŚLEDCZY BORYSOW: *Jakżeby inaczej. To najzupełniej zrozumiałe.*
Zauważcie jednak, że nie powiedzieliście: „Czuję się tak samo, jak każdy by się czuł na moim miejscu, to znaczy wystraszony”.

Mężczyznę skazano na piętnaście lat, Lew zaś wyciągnął z tego cenną naukę — śledczy nie może się ograniczać wyłącznie do szukania dowodów na działalność wywrotową. Dużo ważniejsze są nieustanna czujność i wyłapywanie tych deklaracji miłości i lojalności, które nie brzmią przekonująco.

Opierając się na doświadczeniach z ostatnich trzech lat, Lew przekartkował dziennik Poliny Pieszkowej. Zwrócił uwagę, że — jak na malarkę — podejrzana miała wyjątkowo niechlujny charakter pisma. Przez cały czas mocno przyciskała tępy ołówek, ani razu nie próbując go zatemperować. Przesuwał palcami z tyłu każdej kartki, po zdaniach wybrzuszonych tak, jakby napisano je brajlem. Podniósł dziennik i go powąchał. Trącił sadzą. Pod naciskiem jego kciuka kartki zaszeleściły niczym zeschłe jesienne liście. Obwąchał zeszyt, obejrzał i zważył w ręku — zbadał go pod każdym względem, choć oczywiście go nie czytał. Raport na temat treści zlecił praktykantowi, którego mu przydzielono. W ramach niedawnego awansu na Lwa spadło nadzorowanie nowych agentów. Przestał być uczniem, teraz już sam był mentorem. Ci nowi towarzyszyli mu przez cały dzień pracy oraz podczas nocnych aresztowań, zdobywając doświadczenie i ucząc się od niego, dopóki nie będą gotowi do samodzielnego prowadzenia śledztw.

Grigorij Siemiczastny, piąty agent wyszkolony przez Lwa, miał dwadzieścia trzy lata. Mimo że był inteligentniejszy od innych, bez dwóch zdań zapowiadał się najgorzej z całej grupy. Zadawał zbyt

wiele pytań, za często podważał odpowiedzi. Uśmiechał się, kiedy go coś rozbawiło, a krzywił się, jeśli był zirytowany. Wystarczał rzut oka na jego twarz, by zorientować się, o czym myśli. Zwerbowano go jako wyróżniającego się studenta Uniwersytetu Moskiewskiego, a więc w przeciwieństwie do swojego mentora mógł się pochwalić wyższym wykształceniem. Lew nie był o to zazdrosny, już dawno pogodził się z tym, że nie ma smykałki do nauki. O ile jednak własne ograniczenia intelektualne nie przyprawiały go o ból głowy, o tyle nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego praktykant chciał zrobić karierę w zawodzie, do którego kompletnie się nie nadawał. Grigorij tak dalece rozminął się z powołaniem, że Lew nawet zastanawiał się, czy nie doradzić mu zmiany zawodu. Tyle że nagłe porzucenie tej pracy naraziłoby młodego człowieka na to, że natychmiast trafi pod obserwację i według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie w ocenie państwa skończony. Dlatego mimo licznych potknięć Grigorij musiał iść dalej raz obraną drogą, a Lew czuł się w obowiązku pomagać mu w tym w miarę swoich możliwości.

Grigorij w skupieniu kartkował zeszyt. A to się cofał, a to zaglądał dalej — najwyraźniej szukał czegoś konkretnego. W końcu oderwał się od lektury i oświadczył:

— W tym dzienniku nic nie ma.

Odpowiedź ta nie zaskoczyła Lwa — pamiętał, jak sam stawiał pierwsze kroki w zawodzie — a mimo to rozczarowała go porażka podopiecznego.

— Nic? — zdziwił się.

Grigorij przytaknął ruchem głowy.

— Nic istotnego.

Zupełnie nieprawdopodobny pomysł. Nawet jeśli dziennik nie dostarczał bezpośrednich przykładów prowokacji, to przecież równie istotne jak treść było to, czego nie zapisano. Lew postanowił podzielić się tą wiedzą z praktykantem. Wstał.

— Coś wam opowiem. Pewien młody człowiek zanotował kiedyś w dzienniku, że z niewiadomych powodów tego dnia czuje się smutny. Wpis pochodził z dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Co, według was, z tego wynika?

Grigorij wzruszył ramionami.

— Niewiele.

Lew skwapliwie skorzystał z okazji.

— Kiedy podpisano pakt o nieagresji między nazistowskimi Niemcami a Rosją radziecką?

— W sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

— Konkretnie dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. A zatem ten człowiek z niewiadomych powodów czuł smutek w dziesiątą rocznicę podpisania tego paktu. W połączeniu z brakiem pochwał dla żołnierzy, którzy pokonali faszyzm, i dla militarnej sprawności Stalina smutek tego mężczyzny poczytano za niestosowną krytykę naszej polityki zagranicznej. Po co rozmyślał nad błędami, zamiast wyrażać poczucie dumy? Rozumiecie?

— Może to nie miało nic wspólnego z paktem. Nas wszystkich czasami ogarnia smutek, poczucie samotności albo melancholia. A wtedy nie sprawdzamy w kalendarzu faktów historycznych.

Lew się zirytował.

— Może to nie miało nic wspólnego z paktem? Może nie mamy żadnych wrogów? Może wszyscy obywatele kochają państwo? Może nikt nie próbuje podważać naszych osiągnięć? Naszym zadaniem jest dowodzenie winy, a nie naiwna wiara w jej brak.

Grigorij przemyślał to sobie; irytacja Lwa nie uszła jego uwagi. Z niezwykłą dla siebie dyplomacją odpowiedział powściągliwie, nie dążąc do starcia, aczkolwiek podtrzymał swoje wnioski.

— Pamiętnik Poliny zawiera jedynie nieciekawe spostrzeżenia na temat jej codziennych zajęć. Mimo moich najlepszych starań nie doszukałem się niczego, co by przemawiało przeciwko niej. I tak brzmi mój wniosek.

Malarce — Lew zauważył, że Grigorij poufale mówi o niej po imieniu — zlecono zaprojektowanie i namalowanie cyklu ulicznych murali. Ze względu na ryzyko, że mogłaby — jak zresztą każdy artysta — przemycić wywrotowe treści, zawrzeć w malunkach ukryte znaczenie, MGB przeprowadziło rutynową kontrolę. Przemawiała za tym prosta logika. Jeżeli w dzienniku nie zapisała nic nieprawomyślnego, to w jej twórczości raczej też nic takiego się nie znajdzie. Tak drobne zadanie w sam raz nadawało się dla żółtodzioba. Pierwszego dnia Grigorij spisał się całkiem nieźle. Znalazł dziennik, podczas gdy Pieszkowa malowała w swojej pracowni. Zakończywszy przeszukanie, z powrotem schował dowód do komina, żeby malarka

nie zorientowała się, że jest śledzona. Kiedy zdał raport, Lew przez chwilę myślał, że młody człowiek rokuje jednak jakieś nadzieje — wywnioskowanie, gdzie ukryto pamiętnik, tylko na podstawie odcisku usmolonego palca było godne podziwu. W ciągu kolejnych czterech dni Grigorij prowadził niezwykle intensywną obserwację, poświęcając na to o wiele więcej godzin, niż było trzeba. Ale ta wzmożona praca nie zaowocowała kolejnymi raportami ani żadnymi spostrzeżeniami. Teraz zaś Grigorij twierdził, że dziennik na nic się nie przyda.

Lew wziął od niego zeszyt. Nie omieszkał zwrócić uwagi, że Grigorij niechętnie wypuścił dziennik z ręki. Lew zaczął go czytać. Na pierwszy rzut oka był skłonny przyznać, że nie dostrzega w treści nic prowokującego, wbrew temu, czego należało oczekiwać po czymś tak przemyślnie ukrytym w kominku. Nie chcąc się jednak zgodzić z wnioskiem, że podejrzana jest niewinna, zajrzał na koniec, na wpisy z ostatnich pięciu dni, dokonane w czasie, kiedy Grigorij prowadził obserwację. Podejrzana opisywała pierwsze spotkanie z sąsiadem, mężczyzną zamieszkałym w bloku po drugiej stronie ulicy. Dotychczas go nie widywała, ale zaczepił ją i zamienili kilka słów na ulicy. Według niej był zabawny, więc miała nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkają; nieco krygując się, wspomniała też, że jest przystojny.

> *Czy mi się przedstawił? Nie pamiętam. Pewnie tak. Jak mogłam zapomnieć? Byłam roztargniona. Szkoda, że nie pamiętam, jak ma na imię. Teraz przy następnym spotkaniu się obrazi. Oczywiście jeśli dojdzie do naszego spotkania, na co bardzo liczę.*

Lew odwrócił kartkę. Następnego dnia jej życzenie się spełniło, znowu wpadła na tego człowieka. Przeprosiła go za luki w pamięci i poprosiła, żeby przypomniał jej, jak się nazywa. Powiedział, że ma na imię Isaac, a potem spacerowali, rozmawiając tak swobodnie, jakby się przyjaźnili od lat. Tak się szczęśliwie złożyło, że Isaac zmierzał w tym samym kierunku. Rozstając się z nim przed pracownią, żegnała się ze smutkiem. Napisała, że zaledwie zniknął jej z oczu, zaczęła tęsknić za następnym spotkaniem.

> *Czy to jest miłość? Nie, oczywiście, że nie. Ale może właśnie tak zaczyna się miłość?*

„Właśnie tak zaczyna się miłość” — sentymentalny wpis pasujący do osobowości bujającej w obłokach panny, która pisze nieszkodliwy dziennik, ale chowa go tak starannie, jakby zawierał dowody zdrady i intryg. Głupia zabawa, a jaka niebezpieczna. Lew wiedział, kim jest ów przyjazny młody człowiek, nie musiał czytać jego rysopisu. Spojrzał na swojego podopiecznego.

— Isaac? — rzucił.

Grigorij zawahał się, ale postanowił nie kłamać.

— Pomyślałem, że nie zaszkodzi z nią porozmawiać — przyznał. — To mogło się przydać do oceny jej charakteru.

— Wasze zadanie polegało tylko na przeszukaniu mieszkania i na śledzeniu jej poczynań. Bez osobistych kontaktów. Mogła się domyślić, że jesteście z MGB. A jeśli tak, to specjalnie zmieniła sposób bycia, żeby was wyprowadzić w pole.

Grigorij pokręcił głową.

— W ogóle mnie nie podejrzewała.

Lwa zirytowały tak szkolne błędy.

— Wiecie o tym wyłącznie na podstawie tego, co zapisała w swoim dzienniku. Ale jeśli się zorientowała, że jest śledzona, mogła zniszczyć oryginalny pamiętnik, a na jego miejsce podrzucić ten zbiór banalnych przemyśleń.

Grigorij żachnął się na te słowa, stał się wręcz bezczelny. Próba okazania szacunku przełożonemu pękła niczym kadłub statku, który wpadł na skały.

— Sfabrykowała cały dziennik tylko po to, żeby nam zagrać na nosie? Ona nie myśli w ten sposób. Nie jest taka jak my. Niemożliwe.

Młody praktykant, agent, który zaniedbał obowiązki, podważa jego słowa... Lew z natury wiele potrafił znieść, był bez porównania bardziej tolerancyjny niż inni oficerowie, ale Grigorij wystawiał jego cierpliwość na ciężką próbę.

— Często szczególną uwagę powinniśmy zwracać na tych, którzy na pozór wydają się niewinni — powiedział.

Grigorij spojrzał na Lwa z wyraźną pogardą. Po raz pierwszy jego odpowiedź stała w sprzeczności z wyrazem twarzy.

— Macie rację, nie powinienem był z nią rozmawiać. Ale to dobra kobieta. Tego akurat jestem pewien. W jej mieszkaniu niczego nie znalazłem, a wszystko, czym się zajmuje na co dzień, świadczy tylko

o tym, że jest lojalną obywatelką. Dziennik jest zupełnie nieszkodliwy. Nie ma potrzeby wzywania Poliny Pieszkowej na przesłuchanie. Należy pozwolić jej pracować dalej, bo to wybitna malarka. Zdążyłbym jeszcze zwrócić dziennik na miejsce. Nie miałaby pojęcia, że była przedmiotem naszego śledztwa.

Lew rzucił okiem na zdjęcie malarki, przypięte do okładki teczki. Piękna kobieta. Grigorij stracił dla niej głowę. Czy oczarowała go, żeby odsunąć od siebie podejrzenia? Czy przewidziała, że przeczyta jej dziennik, więc napisała o miłości, chcąc go skłonić, żeby ją osłaniał? Lew musiał się dokładnie przyjrzeć temu wyznaniu miłości. A więc z braku wyboru przeczytać dziennik od deski do deski. Nie mógł dłużej polegać na słowie podopiecznego, którego ocenę sytuacji zmąciła miłość.

Notatki zajmowały ponad sto stron. Polina Pieszkowa pisała o swojej pracy i życiu. Teksty wyraźnie odzwierciedlały jej charakter — wyszukany styl, pełen dygresji, nagłych przemyśleń i wykrzykników. Przeskakiwała z tematu na temat, często zostawiając niedokończone wątki. Nie zamieszczała ocen politycznych, skupiała się wyłącznie na swoim codziennym życiu i malarstwie. Przeczytawszy cały dziennik, Lew nie mógł zaprzeczyć, że ta kobieta ma w sobie coś pociągającego. Nieustannie naśmiewała się z własnych błędów, dokumentowała swoje życie wnikliwie i szczerze. Być może właśnie ta szczerość kazała jej tak starannie ukrywać dziennik. Raczej wykluczone, żeby sfabrykowała go w celu wprowadzenia ich w błąd. Mając to na uwadze, Lew ruchem ręki nakazał podwładnemu, żeby usiadł. Podczas gdy czytał, Grigorij bez przerwy stał nad nim jak strażnik na warcie. Był zdenerwowany. Teraz przycupnął na skraju krzesła.

— Skoro jest niewinna, to wytłumaczcie mi, dlaczego ukrywała swój dziennik? — zapytał go Lew.

Grigorij wyczuł, że przełożony zmienił stosunek do malarki i zaczął się do niej odnosić bardziej życzliwie. Zasypał go więc potokiem słów, z przejęciem przedstawiając możliwe wyjaśnienia.

— Ona mieszka z matką i dwójką młodszych braci. Nie chciała, żeby pamiętnik wpadł w ich ręce. Przeczytawszy go, pewnie by się z niej nabijali. Nie wiem. Pisze w nim o miłości, może dla niej to jest krępujące. Ot i wszystko. Powinniśmy umieć odróżniać rzeczy ważne od nieważnych.

Lew się zamyślił. Potrafił sobie wyobrazić, jak Grigorij zaczepia tę młodą kobietę. Jednak nie wyobrażał sobie, żeby mogła przyjaźnie zareagować na awanse nieznajomego. Dlaczego nie powiedziała mu, żeby się odczepił? Wdając się z nim w szczerą rozmowę, postąpiła ze wszech miar nierozważnie. Lew pochylił się i zniżył głos, nie z obawy, że ktoś ich usłyszy, tylko na znak, że teraz zwraca się do Grigorija nieoficjalnie, nie jako oficer tajnej policji.

— Co się wydarzyło między wami? Podszedłeś i ją zagadnąłeś? A ona... — Zawahał się. Nie bardzo wiedział, jak dokończyć to zdanie. W końcu, jąkając się, wykrztusił: — A ona odpowiedziała...?

Grigorij nie był pewien, czy pytanie zadał mu przyjaciel, czy przełożony. Wreszcie zrozumiał, że Lwem kieruje zwykła ciekawość.

— A jak inaczej można kogoś poznać, jeśli się nie podejdzie i nie przedstawi? — odparł. — Napomknąłem o jej malarstwie. Powiedziałem, że widziałem niektóre jej prace... bo to prawda. Potem już poszło jak z płatka. Rozmawiała ze mną bardzo swobodnie, przyjaźnie.

Lew nie posiadał się ze zdumienia.

— Niczego nie podejrzewała?

— Nic a nic.

— A powinna była was podejrzewać.

Przez krótką chwilę rozmawiali jak przyjaciele, o sprawach sercowych, a teraz znów byli agentami.

Grigorij zwiesił głowę.

— Tak, macie rację, powinna być podejrzliwa. — Był zły, ale nie na Lwa, tylko na siebie. Zbudował swój związek z malarką na kłamstwie; jego uczucie wyrosło na oszustwie i podstępie.

Ku swojemu zdumieniu Lew podał dziennik podwładnemu.

— Weźcie go.

Grigorij ani drgnął; kombinował, o co tu chodzi.

Lew uśmiechnął się.

— Weźcie go. Ona nadal może malować. Nie ma potrzeby, żeby ciągnąć tę sprawę.

— Jesteście pewni?

— Niczego w tym dzienniku nie znalazłem.

Grigorij odpowiedział uśmiechem. Zrozumiał, że malarka jest bezpieczna. Wyciągnął rękę po dziennik. Puszczając kartki, Lew

wyczuł pod palcami wypukłość papieru — nie literę ani całe słowo, tylko jakiś kształt, którego nie zauważył.

— Zaczekajcie — rzucił.

Odebrał dziennik podwładnemu, otworzył go na właściwej stronie i uważnie obejrzał górny prawy róg kartki. Był czysty. A jednak od spodu wyczuwał odciśnięte linie. Coś tam zostało wymazane.

Wziął ołówek, potarł kartkę bokiem grafitu i ukazało się odbicie jakichś bazgrołów, rysunku nie większego niż jego kciuk. Przedstawiał kobietę z pochodnią w ręku, stojącą na cokole — pomnik. Przez chwilę Lew przyglądał mu się tępo, aż w końcu zrozumiał, co ma przed sobą. Amerykański pomnik. Statuę Wolności. Spojrzał na podwładnego świdrującym wzrokiem.

— Przecież... przecież jest malarką — wydukał Grigorij. — Bez przerwy coś rysuje.

— Dlaczego to zostało wytarte?

Młody agent nie znalazł na to odpowiedzi.

— Sfałszowaliście dowód rzeczowy?

— Kiedy wstąpiłem do MGB, pierwszego dnia opowiedziano mi pewną historię — wykrztusił Grigorij. Z jego głosu przebijał paniczny strach. — Sekretarka Lenina, Fotijewa, twierdziła, jakoby Lenin spytał swojego szefa służby bezpieczeństwa, Feliksa Dzierżyńskiego, ilu kontrrewolucjonistów trzyma w areszcie. Dzierżyński podał mu kartkę, na której zapisał liczbę tysiąc pięćset. Zanim Lenin ją oddał, postawił na niej krzyżyk. Według sekretarki zaznaczał krzyżykiem dokumenty na znak, że je przeczytał. Dzierżyński źle go zrozumiał i w rezultacie wszystkich tych ludzi stracono. Właśnie dlatego musiałem wymazać ten rysunek. Ktoś mógłby go źle zrozumieć.

Lew uznał to porównanie za wysoce niestosowne. Nie zamierzał słuchać dalej.

— Dzierżyński był ojcem tej agencji. Porównywanie waszej trudnej sytuacji do jego problemów jest absurdalne. Nie możemy sobie pozwolić na luksus interpretacji. Nie jesteśmy sędziami. Nie do nas należy decyzja, które dowody należy przedstawić, a które zniszczyć. Jeżeli, jak twierdzicie, jest niewinna, znajdzie to potwierdzenie podczas przesłuchania. Swoją nieprzemyślaną próbą osłaniania jej sami się obciążyliście.

— Lwie Stiepanowiczu, z niej naprawdę jest porządny człowiek.

— Jesteście w niej zadurzeni. Macie zaburzoną ocenę sytuacji. — W głosie Lwa pojawiła się twarda, okrutna nuta. Zdał sobie z tego sprawę i złagodził ton. — Ale skoro dowód rzeczowy jest nienaruszony, nie widzę powodu, by informować o waszym błędzie, który z całą pewnością zakończyłby waszą karierę. Napiszcie raport, oznaczcie rysunek jako dowód i zostawmy decyzję w rękach ludzi bardziej doświadczonych od nas — polecił, po czym dorzucił: — Ale pamiętaj, następnym razem już nie będę mógł ci pomóc.

Moskwa
Most Moskworiecki
Tramwaj KM

Tego samego dnia

Lew chuchnął na szybę, żeby zebrała się na niej para. Niczym dziecko przyłożył do niej palec i bez namysłu narysował kontury Statui Wolności — toporną wersję szkicu, który oglądał dziś rano. Czym prędzej starł go szorstkim rękawem marynarki i rozejrzał się. Poza nim nikt nie rozpoznałby tego rysunku, zresztą tramwaj był prawie pusty — oprócz Lwa jechał tylko jeden pasażer, mężczyzna siedzący z przodu wagonu i opatulony na cebulkę tak, że widać było jedynie mały fragment jego twarzy. Upewniwszy się, że nikt nie zauważył jego bazgrołów, Lew doszedł do wniosku, że nie ma powodów do niepokoju. Nie mógł jednak uwierzyć, że on, zazwyczaj tak ostrożny, pozwolił sobie na tak groźny w skutkach błąd. Za często brał udział w nocnych aresztowaniach, a zresztą nawet kiedy nie pracował, miał trudności ze snem.

Tylko skoro świt i późną nocą tramwaje nie były przepełnione do granic możliwości. Miały wymalowany pośrodku szeroki pas i z hurgotem telepały się po mieście niczym gigantyczne landrynki. Lew często musiał się wpychać do nich na siłę. W wagonach obliczonych na pięćdziesiąt miejsc siedzących przeważnie tłoczyło się dwa razy więcej osób; ludzie dojeżdżający do pracy przeciskali się w przejściach, próbując jakoś się ulokować. Tego wieczoru Lew wolałby niewygodę zatłoczonego wagonu, poszturchiwanie łokciami i rozpychanie się pasażerów. Tymczasem siedział sobie komfortowo na wolnym miejscu, wracając do mieszkania dla uprzywilejowanych, którego nie musiał

dzielić z dokwaterowanymi lokatorami — jedna z korzyści wynikających z jego pracy. Status człowieka mierzyło się tym, ile miał wokół siebie wolnej przestrzeni. Już niedługo powinien dostać przydział na własny samochód, większy dom, może nawet na podmiejską daczę. Coraz więcej przestrzeni i coraz mniej styczności z ludźmi, których obowiązki służbowe kazały mu pilnować.

Właśnie tak zaczyna się miłość.

Te słowa zapadły mu w pamięć.

Nigdy nie był zakochany, nie tak, jak to opisywał dziennik — dreszczyk emocji przed ponownym spotkaniem oraz natychmiastowy smutek po rozstaniu. Grigorij ryzykował życie dla kobiety, którą ledwo znał. To chyba wyraz miłości? Wyglądało na to, że typowym przejawem miłości jest brawura. Lew wielokrotnie ryzykował życie dla ojczyzny. Wykazywał się nadzwyczajną odwagą i oddaniem. Jeśli miłość oznacza poświęcenie, to jego jedyną prawdziwą miłością było państwo. Ono zaś odpłacało mu takim samym uczuciem, kochało go jak ulubionego syna, nagradzało, dawało mu władzę. Podejrzenie, że taka miłość to za mało, zakrawało na skrajną niewdzięczność.

Próbując rozgrzać dłonie, wsunął je pod uda. Nic z tego. Nie mógł powstrzymać dreszczy. Podeszwami butów rozchlapywał breję ze stopionego śniegu, zalegającą stalową podłogę wagonu. Czuł ucisk w piersi, jakby rozbierała go grypa, chociaż nic nie świadczyło o tym, że jest chory, był tylko zmęczony i otępiały. Kusiło go, żeby oprzeć głowę o okno, zamknąć oczy i zasnąć. Ale szyba była zbyt zimna. Starł z niej świeżą parę i wyjrzał na zewnątrz. Tramwaj przejechał już przez most i sunął kompletnie zaśnieżonymi ulicami. Wciąż padało, wielkie płatki śniegu osiadały na oknie.

Tramwaj zwolnił. Gdy stanął, zaklekotały otwierane przednie i tylne drzwi, do środka sypnęło śniegiem. Motorniczy odwrócił się do otwartych drzwi i zawołał w noc:

— Ruszcie no się! Na co czekacie?

— Otrzepuję śnieg z butów! — odpowiedział ktoś.

— Więcej śniegu się sypie do środka, niż wy strzepujecie. Wsiadaj, paniusiu, bo zamykam!

Do wagonu wsiadła kobieta objuczona ciężką torbą; buty miała

oblepione śniegiem. Gdy drzwi się za nią zamknęły, zwróciła się do motorniczego:

— A w ogóle to tu wcale nie jest cieplej.

Motorniczy wskazał za okno.

— Wolicie iść piechotą?

Uśmiechnęła się, rozładowując napiętą atmosferę. Ponury motorniczy, ujęty jej wdziękiem, również się uśmiechnął.

Kobieta odwróciła się, rozejrzała po wagonie i napotkała wzrok Lwa. Rozpoznał ją. Mieszkała w pobliżu niego. Miała na imię Lena. Często ją widywał. Prawdę mówiąc, wpadła mu w oko właśnie dlatego, że zachowywała się, jakby nie chciała zwracać na siebie uwagi. Jak większość kobiet, ubierała się całkiem zwyczajnie, ale nie była zwyczajna, wręcz przeciwnie. Jej pragnienie, by nie rzucać się w oczy, przegrywało z niezwykłą urodą, więc Lew, nawet gdyby obserwowanie ludzi nie wynikało z jego wyszkolenia, z całą pewnością by ją zauważył.

Tydzień temu przypadkowo spotkał ją w metrze. Stali tak blisko siebie, że niegrzecznie byłoby się nie przywitać. Widzieli się przelotnie kilka razy, więc uprzejmość nakazywała ją pozdrowić. Był jednak tak zdenerwowany, że przez kilka minut zbierał się na odwagę, żeby się do niej odezwać — zwlekał tak długo, że w końcu wysiadła z wagonu, a on, poirytowany, poszedł w jej ślady, choć nie był to jego przystanek; takie działanie pod wpływem chwili zupełnie nie leżało w jego naturze. Kiedy ruszyła do wyjścia, wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Przewidując niebezpieczeństwo, odwróciła się na pięcie; z jej wielkich piwnych oczu przebijała czujność. Zapytał ją, jak się nazywa. Najpierw oceniła go rzutem oka, przyjrzała się mijającym ich pasażerom, a dopiero potem przedstawiła się jako Lena, dodając, że się śpieszy. I tyle ją widział. W najmniejszym stopniu nie zachęcała go do dalszej rozmowy, ale też nie zachowała się wobec niego niegrzecznie. Nie ośmielił się pójść za nią. Potulnie wrócił na peron i zaczekał na następny skład metra. Ta próba nawiązania kontaktu mogła go drogo kosztować. Tego dnia rano spóźnił się do pracy, co nigdy dotąd mu się nie zdarzyło. Pocieszał się tylko tym, że nareszcie poznał jej imię.

Dzisiaj zobaczył ją po raz pierwszy od czasu tamtej niezdarnej próby przedstawienia się. Kiedy przesuwała się przejściem, patrzył na

nią spięty, z nadzieją, że usiądzie obok niego. Ale minęła go bez słowa, kiwając się w rytm kołysania tramwaju. Może go nie poznała? Obejrzał się. Usiadła na końcu wagonu. Położyła torbę na kolanach i patrzyła przez okno na padający śnieg. Oszukiwanie się nie miało sensu, Lew wiedział, że go poznała — domyślił się po tym, jak uparcie nie zwracała na niego uwagi. Zabolało go, że odsunęła się tak daleko — każdy metr świadczył o tym, jak bardzo go nie lubi. Gdyby chciała porozmawiać, usiadłaby bliżej. Po namyśle uznał jednak, że taki gest z jej strony byłby zbyt śmiały. To on powinien do niej podejść. Wiedział, jak ma na imię. Już się poznali. W ponownym nawiązaniu rozmowy nie byłoby nic niestosownego. Ale im dłużej zwlekał, tym trudniej było mu podjąć decyzję. Z drugiej strony, jeśli rozmowa nie będzie się kleiła, najwyżej ucierpi na tym trochę jego duma. Zażartował w duchu, że pewnie by mu się to nawet przydało — i tak chyba za bardzo obnosił się ze swoją dumą.

Postanowił działać. Wstał raptownie i z udawaną pewnością siebie ruszył w kierunku Leny. Zajął miejsce przed nią i przechylił się nad oparciem.

— Jestem Lew. Kiedyś już się spotkaliśmy.

Nie odpowiadała tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy nadal zamierzała go ignorować. W końcu usłyszał:

— Tak, pamiętam.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, o czym by z nią porozmawiać. Zażenowany, improwizując w pośpiechu, rzucił:

— Przed chwilą słyszałem, jak mówiła pani, że w tramwaju jest równie zimno jak na dworze. Właśnie myślałem o tym samym. Okropny ziąb.

Zaczerwienił się z powodu tak banalnej uwagi, gorzko żałując, że nie przemyślał zawczasu, jak pokierować rozmową.

— Zimno panu? — zadrwiła Lena, spoglądając na jego ubranie. — W takim pięknym płaszczu?

Lew dzięki statusowi agenta miał dostęp do całej gamy pięknych marynarek, ręcznie szytych butów, grubych futrzanych czap. Ten płaszcz był widocznym świadectwem jego pozycji. Wolał jednak nie przyznawać się do pracy w tajnej policji, dlatego skłamał:

— To prezent od mojego ojca. Nie wiem, gdzie mu się udało go kupić.

I zaraz zmienił temat:

— Często panią widuję. Czyżbyśmy mieszkali w pobliżu siebie?

— Całkiem możliwe.

Zadumał się nad tą odpowiedzią. Najwyraźniej Lena nie zamierzała mu mówić, gdzie mieszka. Taka przezorność nie należała do rzadkości. Rozumiał to lepiej niż ktokolwiek. Prawdę mówiąc, nawet go pociągała. Spryt Leny stanowił część jej uroku.

Przeniósł wzrok na jej torbę, wypchaną książkami i zeszytami — zeszytami szkolnymi. Siląc się na luz, poufale wyciągnął rękę i wziął jedną z książek.

— Pani jest nauczycielką?

Przeczytał tytuł na okładce.

Lena lekko zesztywniała.

— Owszem.

— A czego pani uczy?

— Uczę... — Jej głos się załamał. Straciwszy wątek, uderzyła się w czoło. — Wykładam nauki polityczne. Przepraszam, jestem skonana.

Sytuacja była jednoznaczna — Lena chciała, żeby zostawił ją w spokoju. A przy tym za wszelką cenę starała się zachować uprzejmie. Lew oddał jej książkę.

— Przepraszam, że zakłóciłem pani spokój.

Wstał chwiejnie, jakby tramwaj przedzierał się przez wzburzone morze. Przytrzymując się poręczy, wrócił na swoje miejsce. W żyłach zamiast krwi płynęło mu teraz upokorzenie, czuł, jak przenika całe jego ciało, a każdy centymetr kwadratowy skóry pali go żywym ogniem. Przez kilka minut siedział z zaciśniętymi zębami, gapiąc się tępo przez okno, a w głowie rozbrzmiewały mu słowa, którymi tak delikatnie go zbyła. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że zaciska pięści tak mocno, aż na dłoniach odcisnęły mu się półkoliste ślady paznokci.